

## Był taki nauczyciel – Edmund Dywelski

O Panu Dywelskim można by napisać książkę. Podsuwam tę myśl chętnemu do napisania biografii tego ciekawego człowieka. Ja ograniczę się do pewnych ram, w których chcę zawrzeć wspomnienia i wątki z życiorysu Pana Dywelskiego. Obaj urodziliśmy się w Białachowie. Pan Edmund na skraju wsi, ja na wybudowaniu. Idąc do szkoły przechodziłem obok jego rodzinnego domu, przy którym ogródek latem pysznił się kwieciami, a zimą przez płoty domostwa przelewały się zasy śnieżne. To na naszym podwórku ojciec pana Edmunda zostawiał sprzęt do naprawy doraźnej szosy Borzechowo – Zblewo, bowiem był na niej dróżnikiem.

Edmund Dywelski urodził się 09 czerwca 1910 roku w Białachowie z ojca Bolesława urodzonego w Zblewie i matki Anny z Gołuńskich urodzonej we wsi Pustki w Borach Tucholskich. Ślubowali sobie miłość, wierność i uczciwość małżeńską aż do śmierci w 1900 roku i zamieszkali w Borzechowie. W 1905 roku kupili drewniany domek z 1,25 ha ziemi w Białachowie i tu mieszkali do 1952 roku, do śmierci ojca pana Edmunda. Mama zmarła w 1961 roku mając 86 lat.

Rodziny dawniej chlubiły się licznym rodzeństwem, którego panu Edmundowi można dziś pozazdrościć. Brat Władysław urodził się w 1901 roku, siostra Helena w 1903, kolejny brat Jan w 1904, druga siostra Cesia (Cecylia) w 1906, następna Bronisława w 1907, Klara w 1912 i Wanda w 1914 roku. By wykarmić taką rodzinę trzeba było wiele zachodu, a z pracą różnie bywało. Jeszcze przed ślubem ojciec wyjeżdżał do pracy w cegielniach na terenie Niemiec, a po zawarciu związku małżeńskiego pracował jako dróżnik aż do emerytury.

Trudne to były czasy. Polski nie było, pruska władza germanizowała miejscową ludność na wszelkie sposoby. W szkołach nauka odbywała się tylko po niemiecku, z całkowitym zakazem używania języka polskiego. Polacy uczyli się ojczystego języka z książek do nabożeństwa. Kiedy wybuchła I wojna światowa, wszystkich mężczyzn powołano do wojska, ojca pana Edmunda też. - ***Pamiętam*** – wspomina w swym pamiętniku pan Edmund – ***jak mój ojciec z plecakiem na plecach odchodził na wojnę, a my dzieci i mama płakaliśmy***. Wprowadzono obowiązkową odstawę produktów rolnych za marne pieniądze. - ***My na ogół*** – wspomina pan Edmund – ***dostawaliśmy tylko raz dziennie kawałek chleba. Żywiliśmy się kartoflami, warzywami i częścią mleka od krowy, która pozostała – część mleka trzeba było odstawić***.

W 1916 roku pan Edmund poszedł do szkoły w Białachowie, do której mój ojciec, ja i moje rodzeństwo uczęszczaliśmy. Rodzice pana Edmunda zadbali o to, by umiał już czytać po polsku, co wcale nie ułatwiało życia szkolnego, bowiem wymagana była znajomość języka niemieckiego. Za używanie słów polskich nauczyciel bił, za co dostawał jeszcze specjalne wynagrodzenie, bo mieściło się to w ramach germanizowania Polaków. Byli różni nauczyciele : Niemcy z ludzką twarzą i Polacy, którzy zaparli się polskości.- ***Takiego nauczyciela ja miałem w Białachowie*** – pisze pan Dywelski - ***Był Polakiem ale słowa po polsku nie powiedział.***

W 1918 roku skończyła się wojna i do domu wrócił ojciec pana Edmunda, ale tu, na Pomorzu, Niemcy nadal panowali. Po powstaniu w Wielkopolsce w 1919 roku, ludność na naszych ziemiach zażądała nauki w języku polskim. Oddaje głos panu Edmundowi - ***Pamiętam dobrze ten dzień. Przed lekcjami umówiliśmy się, że wchodzącego do klasy nauczyciela pozdrowimy po polsku. Nauczyciel wszedł, a my „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego – Ojciec nasz, któryś jest w niebiesiach” i dalej do końca. Nauczyciel nie wiedział ,co robić. Zaczerwienił się, zbladł i nic nie mówił. Kiedy skończyliśmy modlitwę, to nauczyciel po niemiecku ostro zapytał:- „Kto wam pozwolił?” – a my po polsku- „Nasi ojcowie nam kazali”. Potem nauczyciel szybko wyszedł z klasy i trzasnął drzwiami. My siedzieliśmy jak trusie i przygotowywaliśmy się do ucieczki przez okna. Po dłuższej chwili nauczyciel wszedł uśmiechnięty i powiedział po polsku : -„Od jutra będziemy uczyli się po polsku, a teraz idźcie do domu”. My w krzyk, wybiegliśmy i darliśmy nasze niemieckie książki.*** Polska odradzała się i na Pomorzu. Na początku lutego 1920 roku wojska niemieckie opuszczały nasze tereny, na które wkraczali nasi żołnierze. Białachowo też miało swój radosny dzień, kiedy cała wieś wyległa, by powitać Wojsko Polskie. Przygotowano specjalne transparenty i polskie flagi. Żołnierzy witano płaczem, ale był to płacz radości. W szkole odbyło się oficjalne spotkanie, podczas którego dzieci deklamowały wiersze patriotyczne i śpiewano polskie piosenki. Zapraszano żołnierzy do prywatnych domów, a w zblewskim kościele odprawione zostało nabożeństwo dziękczynne.

W 1924 roku pan Dywelski ukończył szkołę w Białachowie. Po odpowiednim przygotowaniu, w 1925 roku zdał egzamin do Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Bydgoszczy, które ukończył po pięciu latach intensywnej nauki. W maju 1930 roku zdał maturę i uzyskał zawód nauczyciela. I tu warto znowu przytoczyć słowa pana Edmunda, który pisze; ***Była***

*duża radość, że już nie będę ciężarem dla rodziców i sam będę zarabiał. Jednak tu na Pomorzu pracy nie otrzymałem, bo rozpoczął się kryzys w Polsce (rok wcześniej na świecie). Rząd zaczął oszczędzać w pierwszym rządzie na oświacie. Premier rządu polskiego powiedział w sejmie, że chłopaczkom ze wsi wystarczy, gdy nauczą się liczyć do tysiąca i czytać z książeczki do nabożeństwa.*

01 listopada 1930 roku otrzymał pracę nauczyciela na wschodnich rubieżach ojczyzny, na Polesiu, w miasteczku powiatowym Kosowo Poleskie. Tam było tylko 30% Polaków, 40% Żydów i 30% Białorusinów. Później była szkoła we wsi Zapole, gdzie mieszkała ludność wyłącznie białoruska (tylko gdzieś tam były małe wioski zamieszkałe wyłącznie przez ludność polską). Szkoły zaś były polskie i po polsku uczono. W 1934 roku otrzymały tajne zarządzenie, aby w ciągu roku doprowadzić do tego, by dzieci mówiły po polsku także w czasie przerw. Pan Dywelski pisze; *Wtedy przypomniałem sobie, jak ja w dzieciństwie chodziłem do szkoły niemieckiej i nie wolno mi było mówić nawet w czasie przerwy po polsku.* Doskonale rozumiał te białoruskie dzieci nie znające języka polskiego i z pełną wyrozumiałością do nich się odnosił.

Zamieszkał w mieszkaniu nauczycielskim wspólnie z kolegą Witkiem Strażeckim z Czeladzi koło Sosnowca. Panu Witkowi wkrótce zmarł ojciec. Po tym smutnym wydarzeniu sprowadził do siebie brata i dwie siostry. Jedną z nich, 19 letnią Felę, bardzo spodobała się panu Edmundowi, który po paru miesiącach poprosił o jej rękę.

W maju 1931 otrzymał pracę we wsi Bajki, we wrześniu został mianowanym nauczycielem etatowym w tejże miejscowości, a 3 października wziął z Felą ślub. Jak wyglądała wieś na Polesiu? Pan Edmund tak pisze; *Ludzie w Bobrowiczach jak i w innych wsiach na Polesiu żyli bardzo biednie. Żadnych fabryk na tamtych terenach nie było. Ludzie utrzymywali się tylko z roli. Rodziny były liczne, średnio w rodzinie żyło 8 – 10 dzieci, reszta, bo 30% dzieci do 7 lat umierała z niedostatku i brudu. Większość gospodarstw było bardzo małych, bo rodzice umierając dzielili ziemię na wszystkich synów. Były rodziny, które miały mniej niż jeden hektar ziemi, a nawet ¼ hektara, w dodatku w kilku kawałkach nieraz odległych od siebie kilka kilometrów. Były pola 1 metr szerokie, a 3 kilometry długie. Ziemia była piaszczysta albo podmokła. Uprawa była zacofana. Większość bron była drewniana, zdarzały się drewniane pługi (sochy), wiele wozów nie miało kół z żelaznymi obręczami, a rzadko który wóz miał żelazne osie. Jeśli jedna para butów była w rodzinie,*

*to było dobrze – nosili łapcie plecione z kory lipy, czy wierzby. Rower na wsi miał tylko nauczyciel. Moja 4-osobowa rodzina zjadała więcej cukru niż cała 800 - osobowa wieś. Większość rodzin ostatni chleb jadła na Wielkanoc, mięsa i tłuszczu nie było. Krowy karmione lichym sianem, mleko dawały tylko po ocieceniu przez 4-5 miesięcy. Na przednówku dzieci przychodziły do szkoły blade i głodne.* Bardzo było żal tych dzieci panu Dywelskiemu, a niewiele mógł tu poradzić.

Struktura ówczesnej szkoły to cztery klasy. W I i II klasie nauka trwała jeden rok. W III klasie dwa lata, a w IV trzy lata. Program nauczania w tych klasach równał się 6-ciu klasom szkoły pełnej, 7 - klasowej. Nauczyciel zarabiał 160 złotych miesięcznie, robotnik w tartaku w Kaliskach zarabiał około 60 złotych miesięcznie, tak jak brat pana Edmunda – Janek. Jajko przed wojną kosztowało 5 groszy, jak powiadali moi rodzice.

Różnie bywało w życiu pana Dywelskiego. Bywały radości i smutki. 31 marca 1933 roku, w szpitalu w Kosowie urodziła mu się córeczka - Lusia. Radość ogromna, a za kilka dni wielka tragedia. W tydzień po porodzie zmarła matka Lusi i ukochana żona pana Edmunda. Spoczęła w tamtej ziemi.

Pan Edmund przechodził trudny okres – maleńka córeczka potrzebowała kobiecej ręki. Pojechał do Białachowa, namówił siostrę Klarę, by po wakacjach pojechała z nim do Choroszczy, dokąd przeniósł się z Zapola. Już było łatwiej. Razem mieszkali i gospodarzyli do 1935 roku. W lipcu tego roku przyjechali do Białachowa. Po wakacjach wrócił sam na Polesie, a córeczka pozostała w rodzinnym domu pod czułą opieką siostry Klary i dziadków. W międzyczasie poznał swoją przyszłą, drugą żonę – Jankę Gajewską, też nauczycielkę, z którą wziął ślub 26 grudnia 1935 roku. Pani Janka pochodziła z prawosławnej rodziny, matka była katoliczką i wszyscy czuli się Polakami. Rodzice Janki mieli gospodarstwo rolne i warsztat garncarski, z którego dochody pozwoliły wykształcić dzieci. Nastąpił kryzys, wielu nauczycieli było bez pracy. Dopiero po roku małżeństwa, pani Janka otrzymała pracę w szkole w Choroszczy, gdzie razem uczyli do 20 sierpnia 1938 roku. Tak ten okres wspomina pan Dywelski: *Trzy lata pobytu w Choroszczy, to był może najpiękniejszy okres w naszym życiu. 05 czerwca 1937 roku, w szpitalu w Kosowie urodził się Zenek. Obecnie było nas czworo. Nowe obowiązki, nowe radości. Ludność Choroszczy była dla nas bardzo życzliwa.*

01 września 1938 roku państwo Janina i Edmund Dywelscy przenieśli się do pracy w Wólce Telechańskiej nad Kanałem Ogińskiego. Ich warunki bytowe znacznie się poprawiły. Zatrudnili

pomoc domową – panią Jadzię, co bardzo ułatwiało wykonywanie pracy zawodowej i mieli więcej czasu na kontakty towarzyskie. Dzieci miały dobrą opiekę. Pani Jadzia przygotowywała też posiłki, opierała domowników i sprzątała dom. Miała dobre warunki bytowania. Mieszkanie było duże, do swej dyspozycji miała pokój i małą kuchenkę. W mieszkaniu, a właściwie w kancelarii, pan Dywelski miał trzylampowe radio i słuchał stacji z wielu miast zagranicznych, zwłaszcza, że sytuacja polityczna w Europie komplikowała się za sprawą kanclerza III Rzeszy Adolfa Hitlera. Pan Edmund uprawiał też przydomowy ogródek, w którym rosły różne warzywa. Zadziwił sąsiadów pięknymi pomidorami, których tutaj nie znano. Zależało panu Dywelskiemu na tym, by pokazać miejscowej ludności, że można uprawiać ziemię nowoczesnie i osiągać większe zbiory, którymi dzielił się z ubogą, miejscową ludnością. Sprowadzał nawóz sztuczny z zakładów ogrodniczych Hozakowskiego z Torunia, którym zasiał posiany na 20 arach owies. Wyrósł nad podziw pięknie, wzbudzając tym samym podziw u miejscowych gospodarzy. A jeszcze bardziej się dziwili jak pan Dywelski kosił kosą swoje zboże. Tam do tego celu służyły sierpy, czynność tę wykonywały wyłącznie kobiety. Mężczyźni zwozili tylko zboże do stodoł. Kiedy miejscowi pomogli panu Dywelskiemu zwieźć owies do stodoły, postawił im wódkę i razem ją wypili, czym zaskarbił sobie szacunek miejscowej ludności. Dziwili się, a jednocześnie pochlebiali im to, że nauczyciel zniżył się do ich stanu. Taki był pan Edmund.

01 września 1939 roku Niemcy napadli na Polskę i rozpoczęła się II wojna światowa. Do 17 września w szkole odbywała się normalna nauka. Tego dnia radio z Warszawy nadało komunikat, że Sowieci przekroczyli nasze wschodnie granice. Natomiast radio Mińsk nadawało komunikaty w języku polskim i rosyjskim, że władza radziecka wkracza na Zachodnią Białoruś i Ukrainę, by bronić swoich rodaków. Tak o tym pisze pan Edmund: ***Za parę godzin przemaszerował przez wieś oddział uzbrojony w karabiny. Do szkoły zbiegła się cała wieś. Poprosili o wejście do kancelarii, gdzie było radio, wystawili je na okno, a ludzie słuchali komunikatów z Mińska. Krzyki, wiwaty, płacz, radość, śpiewy i tańce trwały tego czasu przez kilkanaście dni. Poprosili o kuchnię, gdzie gotowali mięso ze zrabowanych świń. Potem poprosili jeszcze o pokój. Radość była nie do opisania. Był czas zbiorów i siewów jesiennych, ale ludzie nie pracowali. Cieszyli się wolnością. Wierzyli, że teraz z Rosji wszystko przywiozł, że będzie raj.*** Raju nie było. Nastął mroczny czas okupacji sowieckiej, głód i dziękowanie Bogu za każdy przeżyty dzień, bo jutro było bardzo niepewne. W każdej chwili groziła

wywózka na Syberię. Trzy dni po wkroczeniu Rosjan na Polesie, odbyło się w szkole zebranie z udziałem polskich nauczycieli. Powiedziano, że nauka będzie się odbywać w języku rosyjskim i nauczycieli polskich nie brano pod uwagę. Pan Dywelski pisze: **Wybrano trzech nauczycieli spośród chłopów. Jednego z nich zapytano: -„Bukwy znajesz?”** (litery znasz ? – przypis E.Z.), **a on odpowiedział -„, Znaju”. -Tak ty pierwszej klas możesz uczyć.** Żona pana Edmunda dobrze znała język rosyjski, kiedy wyznała to nowym władzom, zaangażowali ją do pracy w szkole. Uczyła języka rosyjskiego. Od razu poprawiło się w domu państwa Dywelskich. Ludzie przynosili chleb i słoninę. Jednak pana Edmunda nie chciano jako nauczyciela. Po wielu perypetiach, gdzie niejednokrotnie Jego życie wisiało na włosku, państwo Dywelscy zamieszkali w Iwacewiczach, najpierw u znajomych mieszkali dziesięć dni, gdzie spędzili ubożuchne święta Bożego Narodzenia. Choinkę pan Edmund postawił, ale pod choinką dzieci znalazły dwa jajka i dwie razowe bułki. To były ich prezenty. Luśka miała wtedy 6 lat, a Zenek 2 i pół. Potem zamieszkali w wynajętym mieszkaniu, w małym domku na ulicy Nadolnej. Zatrudniono ich w miejscowej szkole, gdzie było 350 uczniów. Pani Janka uczyła młodsze klasy, pan Edmund w starszych klasach uczył języka niemieckiego, rosyjskiego i arytmetyki. Po utworzeniu szkoły polskiej, pan Edmund uczył dzieci Polaków osiadłych z Polski centralnej. **Etat dla nauczyciela wynosił 18 godzin tygodniowo** – pisze Pan Dywelski w swym pamiętniku. **Nauczyciel musiał mieć na każdą lekcję obszerny konspekt, który podpisywał kierownik szkoły. Za godziny nadliczbowe płacono. Ja miałem około 28 godzin tygodniowo i zarabiałem około 1000 rubli miesięcznie. W tym czasie robotnik w tartaku otrzymywał do 120 rubli. Naczelnik poczty też 120 rubli. Nauczyciele byli dobrze wynagradzani, Janka miała mniej godzin. W sklepach ceny urzędowe nie były wysokie, chleb 1 kg – 1 rubel. Inne towary były od czasu do czasu, za to kolejki długie. Mięsa i tłuszczów, czy cukru nie było wcale. Słonina była na targowiskach, 80 – 100 rubli za kg. Materiałów na ubrania czy płótna, także naczyń kuchennych też nie było.**

W maju lub czerwcu 1941 roku w rodzinie państwa Dywelskich przyszedł na świat syn Januszek. Po kilku tygodniach zmarł na biegunkę. Kolejna tragedia w rodzinie. 22 czerwca Niemcy zaatakowali Związek Radziecki. Po przejściu frontu państwo Dywelscy wrócili do Iwacewicz. Na Edmunda już czekali Niemcy. Wyznaczyli go na tłumacza przy burmistrzu, a po kilku tygodniach nakazano pracę w brygadzie remontującej linie telefoniczne, gdzie szefem był Niemiec, a 20

robotników to Białorusini i Polacy. Zarabiał tu marne pieniądze, bo tylko 1 markę dziennie, a kg słoniny kosztował 150 marek. Handlował z Niemcami słoniną od gospodarzy za ubrania i inne drobiazgi. Było ciężko. Poprawiło się, gdy kolega Witek Strażecki podarował im krowę. Sam wyjechał do centralnej Polski, po rozstrzelaniu przez Niemców jego matki, siostry i brata.

Na tych terenach była silna partyzantka rosyjska, która dawała się Niemcom we znaki. Ci z kolei za akty sabotażu i dywersję rozstrzelali miejscową ludność i palili wsie. Było niebezpiecznie i postanowili zmienić miejsce zamieszkania. Pani Janki rodzina mieszkała w Różanie, gdzie nie było linii kolejowej podatnej na dywersję, tym samym miasteczko było mniej narażone na odwet ze strony Niemców. Tam zamieszkali. Znajomy, polski leśniczy, zatrudnił pana Edmunda w brygadzie drwali. Tutaj za pracę otrzymywał 15 marek na 10 dni, co starczało na bochenek chleba. Pan Edmund wpadł na pomysł, by wykorzystać piec garncarski teścia do wyrobów glinianych gwizdków – ptaszków, koników. Gotowe wyroby Luśka sprzedawała na targu, co dawało dość dobry dochód. Jednak nie na tyle dobry, by starczało na ubrania czy buty. Pan Dywelski zaczął naprawiać buty, czego nie lubił, ale jak pisze, jeszcze w Bytoni tę czynność wykonywał do około 1958 roku.

Na początku 1944 roku Niemcy ogłosili dobrowolny nabór do pracy w Niemczech. Obiecali, że kto się zgłosi będzie mógł zabrać rodzinę i ręczny bagaż. Front się zbliżał, Niemcy się cofali. Dwóch sierżantów niemieckich, którzy zajmowali jeden pokój u Dywelskich, często rozmawiali z panem Edmundem na różne tematy. Jeden z nich był w cywilu nauczycielem. Okazało się, że kompania wojska stacjonująca w Różanie otrzymała rozkaz wyjazdu na Pomorze. Ta wiadomość bardzo zainteresowała pana Dywelskiego. Postanowił zrobić wszystko, by również wyjechać. Dowództwo tego oddziału zgodziło się zabrać rodzinę Dywelskich ze sobą. I tak w czerwcu 1944 roku, na bagażach samochodów ciężarowych wojska niemieckiego wyjechali z Polesia. Dojechali do Płońska, gdzie nastąpiła zmiana lokalizacji tego oddziału. Dowódca dał im przepustkę i bilety kolejowe do Zblewa. Pani Janka na zawsze opuściła swoje strony, by z mężem i dziećmi osiąść w jego rodzinnym domu. Pewnie nieraz wspomnieniami wracała do swojej poleskiej wsi, może skrycie ocierała łzy tęsknoty za ojczystymi stronami, jak wielu naszych rodaków.

Przy zameldowaniu się, pan Dywelski otrzymał skierowanie do pracy w tartaku w Zblewie. Jako Polak otrzymywał 40 - 50 marek miesięcznie. Przydział żywności dla Polaków był bardzo skromny. Jako ciężko pracujący, pan Edmund otrzymywał 500 g chleba dziennie, a dzieci i żona

tylko po 100 g. Do tego trochę margaryny, marmelady, margaryny, kości i cukru. Wszyscy którzy podpisali listę narodowościową (nie podpisanie groziło wywózką do obozu) otrzymywali większe przydziały żywności. W tartaku pan Edmund pracował 12 godzin dziennie, z godziną przerwą na obiad. Szedł wtedy do Białachowa, gdzie w połowie drogi czekała już z obiadem Jego żona Luśka.

06 marca wojska radzieckie wkroczyły do Białachowa i Zblewa. Mieszkańcy ich przyjaźnie witali, a oni zabierali rowery, zegarki i inne rzeczy. Z pierzyn wysypywali pierze, a czerwonymi wspaniami ozdabiali swoje namioty. Niemniej wszyscy się cieszyli, bo wreszcie można było mówić po polsku. Pod koniec marca udał się pan Edmund pieszo do Starogardu, do inspektora szkolnego i przyjął pracę w szkole w Radziejewie. Razem z żoną porządkowali klasę zasłaną słomą, szorowali podłogi, zdobyli stół, dwa krzesła i 01 kwietnia rozpoczęła się nauka. Pan Dywelski pisz: ***Przedtem obszedłem wszystkie rodziny i zapisałem uczniów do szkoły. Kiedy wchodziłem do mieszkań, pozdrawiałem po polsku „Niech będzie pochwalony...”, a w większości rodzin ludzie rozplakali się z radości, że przyszedł polski nauczyciel i będzie znowu po sześciu latach polska szkoła. Wszyscy się cieszyliśmy, ale do jedzenia były tylko kartofle i ryby w jeziorze. W całej wsi była tylko jedna krowa, od której mleko rozdzielano tylko dla niemowląt. Ziemniaków przywieźli nam dwie tony, ale ryby trzeba było złowić na wędkę. Z trudnością zdobyłem trzy haczyki na małe rybki, duże i szczupaki. Wędki ukręciłem z końskiego włosia. Był kwiecień, było jeszcze zimno, ale kiedy haczyk wędki zaczepił się w jeziorze o jakąś gałąź, czy roślinę, to musiałem się rozebrać i nurkować, aby uratować haczyk.*** I tak upływały dni, a wraz z nimi poprawiała się sytuacja bytowa. W ramach parcelacji majątku, szkoła otrzymała 1 ha ziemi w 1/3 obsianej żytem. Jak na zgodne małżeństwo przystało, razem uprzętnęli zboże, znajomy z Białachowa wymłócił maszyną i mąki starczyło na cały rok. Na wiosnę zasadzili ziemniaki, we wrześniu wykopali i zawieźli do Bytoni, na nowe miejsce pracy. Tutaj pan Dywelski został kierownikiem szkoły, a żona i pani Pelplińska nauczycielkami. Szkoła była w opłakanym stanie. Okna bez szyb, nie było ławek dla dzieci, podręczników i zeszytów i 140 dzieci do nauki. Wszystko trzeba było jakoś zdobywać. Było ciężko, ale dzieci z ochotą się uczyły i zgłębiały wiedzę w ojczystym języku.

Pensje dla nauczycieli były bardzo mizerne. W jakiś sposób byt poprawiały paczki z UNRA (właściwie UNRRA – Organizacja Narodów Zjednoczonych do Spraw Pomocy i Odbudowy), zawierające różne produkty żywnościowe. Doskonale pamiętam zawartość tych paczek, a zwłaszcza



mleko w puszkach, konserwy z koniną i czekoladę. Tak się dziś zastanawiam, ile tego dobra „wsiąkło” po drodze przez różnych kombinatorów, zanim paczki dotarły do gmin. Pewnie sporo. Zaopatrzenie sklepów przedstawiało się bardzo mizernie, brakowało wszystkiego. Marzyła się panu Edmundowi krowa. Ta jednak kosztowała wtedy około 60 tysięcy złotych, a razem z panią Janką zarabiali ponad 2 tysiące złotych. Trzeba było zająć się pracą na roli, a ziemi wtedy mieli 2 ha i 1 ha łąki. Mieli przynajmniej swoje ziemniaki, zboże dla kur i świniaka w chlewiku. To już było coś.

Pan Dywelski wspominał, że były naciski ze strony władz, by zapisać się do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, gdzie zwalczano religię w szkołach. Zapisał się do ludowców – Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego. Przynajmniej ta partia była tolerancyjna wobec ludzi wierzących i do siebie nie zwracano się per „**towarzyszu**”. Do 1949 roku organizował z młodzieżą pozaszkolną przedstawienia teatralne, a na Boże Narodzenie jasełka, na które przychodzili tłumnie mieszkańcy wsi. **Szczególnie** – pisze pan Edmund – **utkwiała mi w pamięci pierwsza choinka w 1945 roku, kiedy biedniejsze dzieci otrzymały w prezencie po bochenku chleba.** Zaostrzyła się walka komunistów z wszelkimi przejawami życia religijnego i przedstawienia zostały wstrzymane do 1956 roku. Po tak zwanej „odwilży”, kiedy do władzy doszedł Władysław Gomułka – naciski zelżały, wróciły też do szkoły przedstawienia teatralne.

Pan Dywelski był znakomitym nauczycielem i zapalonym społecznikiem. Został też wybrany na radnego do Gminnej Rady Narodowej w Zblewie na początku lat 60-tych, gdzie szefował Komisji Oświaty.

W 1964 roku na emeryturę przeszła pani Janka, a pana Edmunda uroczyste pożegnano w 1971 roku.

26 grudnia 1985 roku, państwo Janina i Edmund Dywelscy obchodzili Złote Gody – 50 lecie pożycia małżeńskiego. Zjechała się cała rodzina: dzieci, wnuki i prawnuki. Były delegacje miejscowych władz. 17 kwietnia 1989 roku kolejna miła uroczystość, pani Janka skończyła 80 lat życia. Gdzie radości tam i smutki. 30 marca 1990 roku zmarła towarzyszką życia pana Edmunda – ukochana Janka. Trudno było się pogodzić ze śmiercią żony. Został sam w swym domku, bo tak chciał. **Dzieci odwiedzają** – pisze we wspomnieniach – **Luśka ze Stachem, bo mieszkają w Kolinczu, 23 kilometry od Bytoni i mają samochód. 09 czerwca tego roku ja też ukończyłem 80 lat i teraz czekam na koniec. Modłę się o tak spokojną śmierć jak Janki.**

Za zasługi, jakimi może się poszczycić pan Edmund, Rada Gminy uchwałą nr XIX/155/2000, przyznała Jemu **Honorowe Obywatelstwo Gminy Zblewa. Stało się to dnia 29 sierpnia 2000 roku.**

Kilka lat przed końcem swego życia przeniósł się do swej córki Lusi i tam spokojnie zmarł 11 maja 2008 roku. Spoczął na cmentarzu w Zblewie, wśród swoich.

Pan Edmund był stałym czytelnikiem moich felietonów, które zamieszczałem w Gazecie Kociewskiej. Kiedy poprosiłem Go o spotkanie, bym i o nim mógł coś napisać, odpowiedział: - ***Bardzo chętnie się z panem spotkam, ale ja nie zasługuję na upamiętnianie mnie w gazecie.*** Uszanowałem Jego wolę i felietonu nie było. Myślę, że pan Edmund nie weźmie mi za złe tego, że teraz upublicznję Jego przeżycia godne zapamiętania przez społeczeństwo Gminy Zblewa i całego Kociewia. Mój przyjaciel, emerytowany nauczyciel, też pochodzący ze Zblewa – Gerard Sulewski, tak mówi o bohaterze mego felietonu: ***Pan Edmund Dywelski był niewątpliwie herosem i mistrzem w pokonywaniu różnorodnych trudności życiowych, będąc równocześnie zawsze przyzwoitym człowiekiem i Polakiem oraz prawdziwym pedagogiem.***

Nadanie bytońskiej szkole imienia Pana Edmunda Dywelskiego, to ze wszech miar trafna decyzja. Myślę, że dzieci i młodzież tej placówki z szacunkiem odnosić się będą do swego patrona, który uczył liczyć i pisać ich rodziców, a pewnie i dziadków. Cześć i chwała Panu Edmundowi Dywelskiemu.

Edmund Zieliński